

Macierz Polska.

Tygodnik illustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 30.

CHICAGO, 25-go LIPCA (JULY 25-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



MAŁA PRACOWNICA.

Polowanie na bawoły.

(Henryk Sienkiewicz.)

(Ciąg dalszy).

Przez chwilę widziałem te olbrzymie zwierzęta, z pochylonymi na przednie nogi łbami i z wypukłymi garbami, uciekające tak szybko, że sądziłem, iż nigdy ich nie doścignemy. Ścigaliśmy, wyjąc w niebogłose, strzelając, jak kto mógł, i bodąc konie ostrogami. Wkrótce kilka sztuk, rannych zapewne przy pierwszej salwie, padło na ziemię. Inne, przeskakując, a często i przewracając się przez nie, pędziły dalej, a my za nimi. Szybkość koni zaczęła brać jednak górę nad szybkością bawołów. Byliśmy bliżej i bliżej. Nasze wycia, tentent koniryk bawołów, beczenie przeraźliwe cieląt, wszystko to składało przeraźliwą, prawdziwie piekielną harmonię. Nakoniec, stado, oślepięone trwogą, rozproszyło się po stepie. Każdy zwierz uciekał teraz w innym kierunku. Nastąpiło zamieszanie. Pognawszy za wielkim samcem strzelałem doń z karabinu jedną ręką, drugą prowadząc konia. Strzały nie mogły być celne, dlatego uciekał ciągle. Prócz tego, po każdym strzale, potrzebowałem dwóch rąk do poruszenia sprężyny, wyrzucającej wystrzelony ładunek, a przez ten czas koń szedł, gdzie chciał, i odległość dzielacza mnie od mojej ofiary, zwiększała się. Wystrzeliłem nakoniec czternaście strzałów, a nie mając czasu nabijać, ani zapinać karabina w pasy, cisnąłem go na ziemię, chwyciwszy na to miejsce rewolwer Colta, wielkiego kalibru, który miałem u pasa. Mając teraz rękę swobodną do kierowania koniem, wkrótce zbliżyłem się do zwierzęcia, a po chwili pędziłem za niem tuż, tuż, tak, iż słyszałem zziębnięty jego oddech. Nakoniec byłem tak blisko, że mógłbym być ręką prawie dosięgnąć jego sierści. Wówczas to począłem wyładować weń rewolwer, nie wybierając miejsc, ale też i nie chybiając z powodu żadnej prawie odległości. Było w tem wszystkiem trochę niebezpieczeństwa. Zwierz przyprowadzony do ostateczności, mógł się zwrócić nagle i uderzyć na mnie, a powtóre koń mógł upaść, pędziłem bowiem na złamanie karku, nie zważając na krzaki, kamienie, na dziury, porobione przez wiewiórki ziemne, i na inne przeszkody. Szalona ta jazda, tuż, tuż, trwała, z jakie dziesięć minut, póki nie wystrzeliłem wszystkich ładunków z rewolweru. Potem poprawdzie nie wiedziałem, co robić. Zwierz biegł ciągle, ja zanim, uzbrojony już teraz tylko w „bowie knife“, który nie mógł się na nie przydać. Goniłem jednak zapamiętale, wiedziałem bowiem, że prędzej później paść musi. Wiatr świszczał mi w uszach, tchu niestawało w piersiach myślałem już, czyby nie wstrzymać konia i nie o-

detchnąć na chwilę, gdy, nagle, znalazłem się przed bawołem. Zawróciwszy konia półkołem, spostrzegłem, że zwierz upadł na jedno kolano, i z drugą nogą, wyciągniętą naprzód, a z nozdrzami, zanurzonemi w trawę pozostawał nieruchomy. Gdym się zbliżył, zerwał się jeszcze z oczyma zakrwawionemi, pełnemi przerażenia i obłąkania, ale zachwiał się natychmiast i padł. Poczem zaczął drgać kurczowo, co oznaczało konanie. Chciałem go dobić pchnięciem noża między głowę i kark, ale nie umiałem tego; wisadłem więc znów na koń i spojrziałem po stepie. O jakie pół mili widać było dwóch jeźdźców, pędzącychw taki sposób, jak ja, za bawołami. W jednym z jeźdźców poznałem Thomsona, po szarem ubraniu. — drugiego nie mogłem rozpoznać. Thomson, położywszy się prawie na koniu, strzelał raz po raz, co miarkowałem z jego ruchów: nie mogłem bowiem dojrzeć ani dymu, ani huk rewolweru. Słyszałem tylko strzały karabinowe, dochodzące mnie z różnych stron, co dowodziła, że inni towarzysze jeszcze nie zaprzestali gonitwy. Wkrótce jednak wszystko ucichło. Towarzysze jeden po drugim poczęli się ukazywać. Gonitwa nie odbyła się jednak bez wypadku. Na Benneta rzuciła się krowa bawola w obronie cielęcia, a ponieważ dojażdżał ją zbyt blisko, przewróciła go razem z koniem. Konia zabiła, a jeździec zemknął w zarośla; skąd, mimo iż zwichnął jedną rękę, strzelał jeszcze z rewolweru, dopóki bawolica, pastwiąca się nad koniem, ażuż poprzednio ranna, nie padła. Stary Mańkut naprawiał natychmiast rękę Benneta sposobem arcy barbarzyńskim (bo kopnięciem go w staw), ale zato skutecznym. Bennet ranny był także w czoło, z którego sączyła się krew, nie było to jednak nic znacznego. Wytrwały „yankee“ nie dał się nawet opatrzeć, ale, włożywszy swoją futrzaną czapkę, utrzymywał, że jest: „all right!“ Gdyśmy następnie obrachowali naszą zwierzynę, pokazało się, że ubiliśmy sztuk jedenaście, nie licząc dwóch cieląt i tych, które, mniej więcej ranne, musiały paść prędzej później. Z pomocą mułów pościgaliśmy je wszystkie w jedno miejsce. Zdjęcie skór i wybranie najprzedniejszych części zajęło tyle czasu iż musieliśmy nocować na polu gonitwy. Olbrzymią masę mięsa musieliśmy jednak pozostawić. Żał był patrzeć na te stosy smacznego pożywienia. Gdyby Indianie dali nam byli, wedle obietnicy, uczynionej Mac Clellowi, eskortę — byłiby, zapewne, umieli spożytkować te zapasy, ale Indian ani było nawet widać. Mieliśmy spotkać się z nimi w ujściu Medicina Bow. Creek do Północnych Wioł, tymczasem drugi dzień już upływał, jak przybyliśmy Medicina Creek, nie spotkawszy żywego ducha. Woothrup poczynął się nawet tem niepokoić, przypuszczając, nie bez przyczyny, że musiało coś zająć, w czasie naszej nieobecności, co zmieniło

stosunku Mac Clella z Indyanami. Postanowiliśmy nawet z tego powodu zatrzymać się dwa dni, aby dać czas eskortie odnalezienia nas. Ten dłuższy wypoczynek był zresztą potrzebny i nam, i mułom, podróż nasza bowiem trwała już dwa tygodnie. Co do mnie, rad byłem z tego niewymownie. Prawdę powiedziawszy, od kilku dni czułem się niezdrów, a zaraz nazajutrz, po owej szalonej gonitwie za bawołami, było mi tak słabo, że musiałem zsiąść z konia i położyć się na wozie. Ward przez cały czas, albo gotował mi herbatę, albo siedział przy mnie, gawędząc, poprawiając na mnie skóry bawole i troszcząc się o mnie, jak najlepszy przyjaciel. Po południu przyszedł także Woothrup i począł ze mną długą rozmowę, z rozmowy tej dowiedziałem się, że rzetelną jego myślą było ciągnąć tą drogą aż do Czarnych Gór w których on i kilku z jego towarzyszków miało rozpatrzyć pewien „business“, a gdyby się okazało, że był dobry, wejść w spółkę, wypuścić akcje i prowadzić sprawę na wielką skalę. Nie chciałem się o ten „business“ wypytwać, bo mało mnie to obchodziło; poznałem jednak, że nasza wyprawa nie miała charakteru czysto sportsmieńskiego Praktyczni Amerykanie umieli pogodzić jedno z drugim.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Obrazki z przeszłości.

II.

(Ciąg dalszy).

— Namysliłem się, trzeba nam zostać. Uważam że rychle doczekamy się lepszego czasu.

Patrzano na niego ze zdumieniem, a on okiem pomrugując, dodał:

— Wierzajcie, ja na plewę wziąć się nie dam. Zostać musim, jeszcze czas jakiś upokorzenie znosić, aby nam się ono sownie opłaciło. Zawierzcie i hasła czekajcie. A teraz sza! ani pary z ust!

Odtąd Nałęczce zbiegać przestali.

Zastępy krzyżackie szły przez Kujawy, jak błędne, szukając, coby jeszcze łupić i palić można. O Łokciu wciąż im znać dawano to z boku, to z tyłu, to miał być koło Brześcia... Dwudziestego szóstego września, z wieczora, nadciągnął mistrz znużony, z wojskiem ociężałym, pod Blewo, małą osadę, którą też Płowcami zwano, bo pono tam niegdyś Połowców, wziętych w niewolę, osadzono. Z osadników znaczna część zbiegła kilka chat stercało na równinie nagiej. Marszałek Teodoryk, rozważywszy, że się tu wszystkie oddziały wygodnie pomieścić mogą, kazał obóz rozkładać.

Stąd miła tylko była do Radziejowa, gdzie ludzie jego byliby woleli stać, aby i miasteczko zaskoczyć i lepszy znaleźć przytułek. Tu, pod Blewem, w dzielnym polu, gdzie nawet drzewiny nie było, a i o wodę trudno dla tyłu koni, szemrano na niewygodne legowisko. Ale z marszałkiem Teodorykiem, nawet wielki komtur sprzeczać się nie śmiał. Jednak Zygard, komtur koprzywnicki, gdy się już rozkładać miano, pocwałował do niego konno.

— Więc mamy tu noc spędzić? — zagadnął — na tej puszczy, gdzie ani paszy, ani wody niema?

— Tak jest, tu staniemy! — odparł Teodoryk. — Kaźcie rozbijać namioty. Mam powody, dla których tu muszę zgromadzić nasze siły. Czekam na Ottona z Luterbergu i tych, którzy na Brześć poszli. Nie mogę się rozpraszać. Chociaż mi swoje woda ręczy, że król daleko, że o nas nie myśli, lecz uchodzi, ja przecież temu niezupełnie wierzę. Oddziały nasze porozdzielane — tu się zgromadzić musimy!

Zygard umilkł, zrozumiał, że rozkaz nie może być cofniony. Odezwał się po chwili:

— Według mnie, obawa, co do króla krakowskiego, płonna. Radby uniknąć spotkania, to jawne. Nasi ludzie pomęczeni, a tu o wypoczynku mowy być nie może.

Teodoryk, ramionami wzruszywszy, rzekł:

— Oddziały mają tu ściągać!

Zygard konia zawrócił i pojechał do swoich, którzy nie przestawali szemrać na niewygodny nocleg w mokrej nizinie, nie mogącej nawet chróstu na ogniska dostarczyć.

Starszyzna krzyżacka, bezkarnemi zagonami po kraju polskim uzuchwalona, nigdzie dotychczas nie spotykając nieprzyjaciela, przestała wierzyć w niego. Trocha opodał od wielkiego namiotu, który pośpiesznie rozpinano, wbijając koły do utrzymania go, stali na koniach komturzy: koprzywnicki Zygard, elbląski Herman, gdański Albert Ore, a także kilku grafów, należących do zakonu. Tworzyli oni grono, nawykłe czasu tej wojny razem zabawiać się, żartować, polować i ludzi udrećcać.

Herman elbląski był szczególnie w chwilach szaleńczego żartobliwego i okrucieństwa zaprawiały wstrętnym dowcipem. Opowiadano szeroko o jego sztuczkach w znęcaniu się nad poganami, bo tak Krzyżacy Polaków i wszystko, co jeno polskiem było, nazywali.

Grono tych dobrych druhów już nieco było łowami na ludzi, paleniem i ścinaniem znużone. Zapasy obozowe, wzięte z Torunia na wyprawę, wyczerpywały się, wino coraz było gorsze, kuchnia coraz bardziej zaniedbana... Jesień miała poranki chłodne i dnie słotne. Kraj podobny był do wielkiej wygorzałej pustyni, ludzi nawet dla zabawy katowskiej nie spotykano, więc wszyscy jednomy-

ślnie głosowali, aby z ławem i zupełnem zwycięstwem powracać do Torunia. Oblicza większości tych panów dostojnych były nachmurzone — komtur Herman poziewał, nudził się. Skoro Zygard zawiadomił, że Teodoryk upiera się obozować pod tą lichą osadą, skrzywił się i zżymnął, nadmieniając:

— Widmo jakieś, cienia gonimy. Królik mały nie ma widocznie ochoty spotkać się z naszymi włóczęgami — ani go widać, ani słychać o nim. Polski nasz palatyn, wojewoda, pierwszy zwąchałby go, bo lęka się wpaść w jego ręce, a jednak zaręcza solennie, że w tej okolicy go niema. Więc poco my się tu włóczęg?

Komtur gdański Albert, figura dostojna, wielkiego rodu i wielkiej dumy, rzekł, dokoła się rozglądając:

— Prawda, że tu miejsca dosyć, choćby na dwa razy tyle żołnierza, ile go mamy, ale stać w tem błocie do przyjemności nie należy.

— Ha! mistrz każe... — schyliwszy głowę nie co szyderski ozwał się Zygard.

— Ani ognia prędko nanieć nie będzie z czego ani wody czystej dostać...

— Innej rady niema — wtrącił komtur elbląski — jeno do tej wioski, która już pustą być musi, lub za chwilę pustą być powinna, ślać i kazać te chałupy rozwalać.

Wioska, widniejąca w pewnem oddaleniu, w samej rzeczy wyglądała tak nędznie, że chyba tylko w ziemi. Krzyżacy już się tam kręcili, szukając okopu można się było z niej spodziewać. Z wyjątkiem chaty sołtysa reszta do połowy siedziała fiar, ale ludność zbiegła wcześniej. Dwóch starców bezsilnych znaleźli, jednego w kleci na barłogu, drugiego, siedzącego na progu z tą obojętnością na śmierć, jaką wiek sędziwy daje. Zamordował jednego żołdak, przesywszy mu pierś włóczną — drugiego uwiązano rozkrzyżowanego na płocie, aby dogorywał powoli.

Zwykłe to były igraszki Krzyżaków.

Teraz skarżyli się, że lepszej zabawy nie mieli. Wieś była jak wymarła, ludzie schronili się do lasu, wprowadzając bydło i konie...

Gromadka dostojnych rycerzy stała jeszcze na wzgórkę, gdy w pewnem oddaleniu ukazał się oddział wojewody, szukając też miejsca dla siebie.

Był on przedmiotem ustawicznego szyderstwa Niemców. Lżejszy uzbrojeniem, nieco rozprzężony pochodami, mniej karny, przedstawiał się inaczej, choć mu na bucie nie zbywało. Według rozumienia niemieckiego, nie był to żołnierz, jakim go oni mieć chcieli. Przodem, z otoczeniem swem, wcale strojno i lśniący, jechał wojewoda, na boku Dobek i Włastek.

Sam wojewoda, który dawniej patrzył osowia-

le, chmurno, smutno, teraz, jakby się odnowił: poglądał śmiało, z góry, pewnie. Spozrzegł to Zygard i szepną do swoich:

— Oho, jak to odżył Polak, upewniwszy się, że z królem swoim się nie spotka. Dopiero od dni kilku taki rażny.

— Niecierpię tego człowieka! — ozwał się Herman elbląski — nie zawinił mi nic, ale jak dla psa sam widok kota jest odrażliwy, tak dla mnie jest widok każdego Polaka nienawistnym. A tego więcej, niż innych.

Towarzysze rozśmieli się,

— Ja także ich nienawidzę — nadmienił komtur gdański — barbarzyńcy są, a chrześcijan udają.

Oddział polski szedł luźno, poglądając na Niemców z ukosa. W szeregach panowało milczenie, lecz było to jakieś znaczące milczenie ludzi, zmuszających się ukrywać to, co się w ich duszach działo. Milczeli — lecz twarze ich mówiły. Ktokolwiek z nich uważał, że nie będzie postrzeżony, oczyma i usty na widok Niemców okazywał wstręt wielki. Starszyzna, surowemi wejrzeniami i ukradkowym gestem, nakazywała pomiarkowanie i ostrożność.

Krzyżacy, nie mając nic do czynienia, odbywali jakby przegląd oddziału polskiego. Zwrócili się ku niemu twarzami, uśmiechali się, szeptali, pokazywali sobie palcami mniej pozornych, którzy zbroję mieli marną, z tym i owym brakiem. Komtur elbląski, zawsze do niemiłosiernych, zjadliwych drwin skory, postanowił zaczepić wojewodę Wincza, który umyślnie w inną poglądał stronę. Tedy zawołał:

— Czołem, palatynowi!

Wincz skłonił głowę bez odpowiedzi, chciał jechać dalej.

— Co tam słychać o małym królu? — napierał go Herman.

— Niema go, możemy spać spokojnie! — brzmiała odpowiedź.

— Nigdy on sam snu nie psuł — rozśmiał się Herman — ale bezpieczniej wiedzieć, czy nie przyjdzie nam dać dzień dobry?

Wincz zatrzymał konia, w oczach mu zajaśniał również blask szyderski.

— Juścić tak potężne wojsko — rzekł — jak marszałka, niema się co obowiać krakowskiego panka, to pewna. Wszakże ten człeczek niepozorny miewał chwile szczęśliwe, a zręczny jest zawsze. Nie należy go lekceważyć.

— Szczególniej wy, którzy go lepiej znacie, nie możecie go lekceważyć. Insza rzecz my. Myśmy o nim pochlebnego przekonania nie nabrali. Wiemy tylko, że uchodzić potrafi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W LESIE.

Wandzia, Teklunia i Władzio poszli do lasu na jagody ze swoją babusią, Katarzyną. Każde z nich niosło spory garnuszek i obiecywało sobie, że z pełnym wróci do domu.

— Kto zbierze najwięcej jagódek — mówiła babusia — ten w domu dostanie największy kawałek placka, A taki smaczny, taki słodziutki, dopiero dziś upieczony! — dodała, zachęcając dzieci do pracy.

— O to ja najwięcej uzbieram — zawołała Teklunia.

— Nie, nie, ja! — mówiła Wandzia.

— Właśnie, że ja! — energicznie krzyknął Władzio.

— No, no, pokaże się to potem — mruknęła babusia — nie swarście się teraz i nie oddalajcie się zbyt daleko jedno od drugiego — dodała.

— Dobrze, dobrze! — zawołały dzieci — będziemy blisko siebie.

Ale zbierając jagody mimowoli porozdzielały się dzieci i porozłaziły w różne strony tak że niedługo potraciły się z oczu.

Zbierają jagody, napełniając nimi swoje garnuszki.

Wandzia odsunęła się dosyć daleko, ale też nazbierała nie mało. Kto wie, czy obiecana nagroda przez babusię jej się nie dostanie.

W tem usłyszała poza sobą jakiś płacz i szlochanie, a obejrawszy się, ujrzała małego i bardzo skromnie ubranego chłopczyka z dzbanuszkami w ręku.

— Czego ty płaczesz? — zapytała,

— Bo tam może Zosińka już umarła.

— Jaka Zosińka?

— Moja maleńka siostrzyczka, która jest bardzo chora.

— A to czemu nie zostałeś w domu? — zapytała zdziwiona dziewczynka.

— Bo, widzisz, moja matka bardzo zachorowała, był u nas doktor i przepisał lekarstwo dla matki i dla Zosińki, ale u nas bieda, bo ojca już dawno nie mamy, uciekł od nas. Nie mamy za co kupić lekarstwa, mama powiedziała, że ona i bez lekarstwa wyzdrowieje, ale mała Zosia może umrzeć, jak nie dostanie lekarstwa. Do pracy nie mogę jeszcze iść, bo jestem za młody; przyszedłem więc tutaj, aby nazbierać jagód, potem sprzedać je w groserni i kupić lekarstwo. — Ale kiedy ja tyle jagód nazbieram! — zatem Zosińka może umrze — dodał chłopczyzna i rozplakał się.

Wandzi żal się zrobiło chłopca.

— Wiesz co? — rzekła — dam ci moje jagody i pomogę ci jeszcze uzbierać więcej, abys mógł dostać choćby dolara.

— Dziękuję ci... jak ci na imię? — zapytał Wandzi.

— Wandzia.

— Dziękuję ci, Wandziu, za twoje dobre serce,

Dzieci zaczęły zbierać wspólnie; niedługo wielki dzban chłopca był już pełny i chłopiec podziękowawszy jeszcze raz uprzejmiej swojej towarzysze, i pomocnicy, rażno pobiegł, aby sprzedać jagody i kupić lekarstwa. W tej też chwili Wandzia usłyszała wołanie: "Hop! hop! Wandziu!... Dziewczynka nie miała już czasu do zbierania jagód, i z próżnym więc dzbanuszkami pobiegła za głosem.

Niebawem dzieci się zebrały.

— No kto ma więcej jagód? — spytała babusia.

Dzieci pośpieszyły pokazać, ile które nazbierało, tylko Wandzia nie zbliżyła się do babusi.

— No, a ty, Wandziu, pokaż, ileś nazbierała?

Jakież zdziwienie odmalowało się na twarzach dzieci i babusi, gdy ujrzeli próżny garnuszek.

— Ona zjadła wszystkie jagody! — zawołały dzieci — taka łakoma.

— E może jej się zbierać nie chciało i spała pod drzewem, — zawyrokował Władzio — może z niej leniuszek.

— Tak czy siak, powiedziała babusia, Wandzia dostanie najmniejszy kawałek placka.

Wandzi łyż w oczach stanęły, ale nic nie powiedziała.

W domu Wandzia dostała najmniejszy kawałek placka, bo wszyscy sądzili, że albo z łakomstwa zjadła swoje jagody, albo takowych z lenistwa wcale nie zbierała, — Dopiero za kilka dni rzecz cała się wydała, gdy przypadkiem w tym samym lesie babusia z dziećmi spotkali owego chłopczyka. Ten, gdy poznał Wandzię, przybiegł do niej wołając, że Zosińka nie umarła, ale już jest prawie zdrowa. On też opowiedział całą historię z jagodami.

Babusia serdecznie uściśnęła wnuczkę i pochwaliła ją za dobry uczynek, jak i za to, że o nim nie rozpowiadała, obiecując przytem upiec dla niej samej bardzo smaczny placek.

Praca umysłowa jest najśłodszym na ziemi zajęciem. Ona wrywa człowieka z objęć wszystkich udręczeń świata, które tak silnie uciskają żyjących tylko ciałem.

* * *

Praca jest celem i środkiem życia, warunkiem istnienia. Opatrzność prawie nic zrobionego człowiekowi nie dała, ale użyczyła mu sposobności do zrobienia wszystkiego.

* * *

Nikt nie jest obowiązany być bogatym albo wielkim, ale każdy powinien być uczciwym.

Z włoskiego
przełumaczył
Ks. St. Siatka

Syn marnotrawny

DRAMAT W IV AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

ELEAZAR: Płaczesz mój synu? obejmuje go i całuje To mi wystarcza; O Boże! dzięki ci, tyś zawsze był moim dobrym Asserem i wiem że twoje serce dobre. Jestem pewny, że się wyrzeczesz twego zamiaru, twoje łzy, twoje milczenie o tem mię przekonują. Patrz, pamiętałem o wszystkim: przygowałem ci piękną, bogatą suknię, Jabelu pospiesz się i przynieś ją, niech się w nią ubierze do uczy. Ty Karmelu udaj się do sług i sprowadź ich tu; Ty Labanie zawołaj muzykantów, a ja pójde po gości.

(odchodzą Jabel, Karmel, Laban i Eleazar.)

ASSER: (idzie za nimi zamyślony i zatrzymuje się)

Ach ja nieszczęśliwy! Co się stało? Zgodziłem się ~~wieś~~ pozostać tutaj po tak stanowczych zapewnieniach, że pojedę do Babilonii? Pozostać! Nigdy... a jednak czyż się mogę odważyć zasmucać tego czcigodnego starca? czyż mam odjeżdżać z przekleństwem ojca? Ale Mamuka! co on powie? gdzie moje przyrzeczenia i zapewnienia? Niech on sobie mówi, co mu się podoba, będę stały; jakoś to wszystko minie. Tej nocy, a najdalej jutro odjeżdża, a jak się oddali będę spokojny... Jednakże żal mi tak do brego przyjaciela....

SCENA VIIma.

Jona i Asser.

JONA: Przepraszam panicza, mam pewne polecenie od Mamuki!

ASSER: Mów prędko!

JONA: Był tutaj i oddał mi ten bilecik, abym go wręczył paniczowi jak najprędzej.

ASSER: Niestety, teraz już za późno!

JONA: Nie? a dlaczego?

ASSER: Ojciec tyle mię prosił, że dalej nie mogę się opierać....

JONA: Jak? co mówisz? czyto aby prawda?

ASSER: Zobaczmy jednakże co pisze Mamuka; pismo jak zwykle: Przeciwno tobie przygotowuje się zdradziecka zasacka; uważaj, bo Karmel cię zdradzi; ta ucztą to właśnie sidło, w które wpadniesz, jeżeli się na nią zgodzisz będziesz niewolnikiem Labana. Jszcze dziś wieczorem oczekujemy cię na zwykłym miejscu, biada ci jeżeli się nie stawisz. Pomnij na przyrzeczenie dane: przyjaciele aż do śmierci.

Mamuka!! — Co pocznę?!

JONA: Paniczku to nie żarty!

ASSER: To prawda, zem przysięgł Mamuce!..

JONA: A wiesz czem pachnie złamanie przysięgi?.

ASSER: Ale mój ojciec...

JONA: Więc wolisz paść ofiarą spisku?

ASSER: Lecz taksamo przyrzekłem i memu ojcu... t. j. właściwie nic nie przyrzekałem, ale to moje wzruszenie zdradziło mię i teraz...

JONA: Obecnie pora abyś się zdecydował. Albo jesteś człowiekiem rozsądnym, albo dzieciak; czas nagli a każde opóźnienie może sprowadzić fatalne skutki dla ciebie. Jeżeli pragniesz wolności i szczęścia, to nie ma się co namyślać ale nogi za pas i jazda, Spodoba ci się Babilonia to zostaniesz, nie spodoba się to wrócisz, dom twój nie zginie podczas gdy druga taka okazya do wyjazdu może się nie nadarzy...

ASSER: Jona, ty mię kusisz! O ja nieszczęśliwy, co mam czynić?

JONA: Słuchaj Asserze.

ASSER: Zostaw mię, daj mi spokój!..

JONA: Ja ci życzę jak najlepiej.

ASSER: A czyż ty możesz wiedzieć co dla mnie lepiej?

JONA: Odjazd i to natychmiastowy!

ASSER: Odjazd? więc ty mi doradzasz ucieczkę?

JONA: Ależ bynajmniej! Niepotrzebujesz wcale uciekać; ale jeżeli chcesz uniknąć tych zbyt rychłych nagabywań ojca, wypadaj, ażebyś się oddalił niespostrzeżenie — to konieczne.

ASSER: Dobrze mówisz... ale nie, Jona, dziś nie pojedę. Idź ty sam napowrót i powiedz Mamuce, że obecnie nie mogę jeszcze....

JONA: Jaa! Ocho, nie ma głupich, miałbym się spyszna, gdybym się sam pokazał na oczy Mamuce. Niech panicz idzie zemną, na to się zgadzam. Obydwaj razem prędzej go nakłonimy, ażeby zaczekał..

ASSER: Ale tu mię będą szukać...

JONA: Za pół godzinki wrócimy, nim nakryją stoły, będziemy z powrotem.

ASSER: A jeżeli...

JONA: słyhać muzykę Dopiero muzykanci nadchodzą, spieszmy się to na czas wrócimy. Śmiało naprzód, tu w tyle, przez te schodki na prawo...

ASSER: Ach ja nieszczęśliwy! Czyjej rady mam usłyhać?... idę ale wracajmy jak najprędzej.... ach! bodaj nigdy!... odchodzi porwany przez Jonę.

SCENA VIIIma.

Muzykanci poprzedzają gości.

ELEAZAR, LABAN I KARMEL,

ELEAZAR: Proszę, proszę naprzód, bez ceremonij, zajmijcie miejsca; jakżem rad z waszego przybycia. (wyznacza im miejsca.)

LABAN: A gdzież Asser?

ELEAZAR: Zapewne z Jabelem, przywdziewa szaty, zaczekamy chwileczkę.

LABAN: A j owszem, mamy dość czasu.

ELEAZAR: wskazując miejsca gościom Karmelu, poprosz Józefa, niech się przybliży.

SCENA IXta

Jabel z szatami Assera.

JABEL: Oto nowe ubranie...

ELEAZAR: A gdzie Asser?

JABEL: Nie był tu wcale?

ELEAZAR: Jakto, nie był z tobą?

LABAN: Przecież my go tu zostawili, miał czekać...

ELEAZAR: Gdzieżby się mógł podziąć?

KARMEL: Pójdę go poszukać... odchodzi

ELEAZAR: Idź i ty Jabelu, niech się jak najprędzej ubiera, bo już czas.

JABEL: wychodzi i zaraz powraca.

ELEAZAR: O dobry Boże! czyżby to miał być nowy jaki cios dla mnie?

LABAN: Zapewne szuka Jabela, widocznie zaszła pomyłka...

ELEAZAR: Oby tak było! jak mówisz... ale mnie jakiś niepokój ogarnia, wszystkiego można się spodziewać...

KARMEL: Ojczy drogi, na jedno słówko (bierze go na stronę.)

ELEAZAR: Co jest? co się stało? (mówiąc po cichu do Karmela.)

KARMEL: Assera nie ma w domu,

ELEAZAR: Nie ma go w domu? a gdzie się podział!? (wołając głośno, wszyscy go otaczają.)

KARMEL: Któż może wiedzieć? widziano go jak wychodził z Joną...

ELEAZAR: Z Joną? Ach ten zdrajca! on główną przyczyną mego nieszczęścia...

JABEL: Widziałem dwa konie przy drodze, i na tych...

ELEAZAR: Uciekli! ach mój Boże!

LABAN: A w którą stronę?

KARMEL: Z pewnością do lasu.

JABEL: Właśnie w tę stronę...

ELEAZAR: Boże wielki! Asser mój stracony! O ja naj, nieszczęśliwszy z ojców! (płacze.)

LABAN: Uspokój się.

ELEAZAR: Mamuka! Jona! to mordercy mego dziecka! O Panie i Boże Ojców moich! i Ty pozwoliłeś na to?... Ach nie! nie chcę ci zlorzeczyć nie o dobry Boże; tyś mi dał mego Assera, tyś go też i wziął, niech Będzie błogosławione twoje Imię. (pada na kolana w postawie błagalnej.)

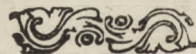
LABAN: Biedny przyjacielu!

KARMEL: Kochany ojczy!

ELEAZAR: (podnosząc się) Boże... Jechowo!.. Tak, jeszcze jedna próba ale ta będzie ostatnia, Bóg natchnął mię odwagą; przyjaciele wybaczcie mi. Karmelu, Labanie, Jabelu chodźmy, ja znam miejsce ich schadzek, jestem pewny że tam Assera znaj-

dę. Podejdę go znienacka, przebaczę mu jego krok nierozważny, miłość ojcowiska zwycięży, czuję to w sercu... Pójdźmy... Boże! wesprzyj sługę twego! (wszyscy odchodzą.)

(Ciąg dalszy nastąpi).



ŚLICZNY PURPUROWY OWOC.

Ciekawy wszystkiego, mały Ludwiczek, oglądał raz w ogrodzie zagraniczne rośliny, które w ozdobnych wazonach na pułkach w cieplarni stały. Pośród innych spostrzegł na niskim krzewie, o ciemnozielonych liściach, podłużny owoc, którego jaskrawo czerwony kolor zachwycił chopczynę bardzo.

— Cóż to za prześliczny owoc! — zawołał, — w całym ogrodzie nie ma piękniejszego.

— A jakież on musi być smaczny! — Rozglądał się później pilnie po całej cieplarni, czy kto nie widzi, a gdy się przekonał, że wszyscy bardzo kwiatami zajęci, zerwał prędko pożądaną owoc i zaczął jeść. Naraz zaczęło go w ustach palić, jakby jadł żarzące węgle. Wypluł owoc i zaczął przeraźliwie krzyknąć; lecz palenie nie ustawało wcale.

Przybiegła matka zaraz do niego i rzekła: — Nieposłuszne dziecko! Jakże często nakazywałam ci, abyś nie kosztował nigdy owocu lub jagody, których nie znasz. Jesteś więc za nieposłuszeństwo ukarany. Owoc ten jak wiele nazywa się pieprzem hiszpańskim, czyli papryką, a jest tutaj prawdziwym obrazem grzechu, który nas zwodniczym swym blaskiem nęci, ale którego skutki tylko nam boleść lub śmierć przynoszą.“

Gdy rozkoszami grzechu pogardzić nie umiesz, Kary, jaką grzech rodzi, niczem nie usuniesz.

GRANICZNY KAMIEŃ.

Tomasz zamieszkiwał dom, który był otoczony pięknym sadem, pełnym drzew urodzajnych. Łąka sąsiada przytykała do niego. Niesumienny Tomasz chciał ogród swój kosztem sąsiada powiększyć, więc raz w nocy posunął graniczny kamień o spory kawałek w łąki sąsiada.

W jakiś czas wstępował Tomasz po drabinie na drzewo aby śliwki obrywać. Gdy już był na ostatnim stopniu, upadł razem z drabiną, którą źle oparł, potłukł się mocno i złamał palec u ręki na granicznym kamieniu. Żeby Tomasz nie był posuwał kamienia byłby upadł poza kamień i nie uszkodził się tak ciężko. Ztąd wynikło bardzo dobre porównanie;

Jak nierozważnie chciwy zuchwalec Posuwa kamień, i łamie palec.

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO-ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyj: **MACIERZ POLSKA,****81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS**Prenumerata roczna wynosi \$1.00. — Pojedynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyjny: **MACIERZ POLSKA,****141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.****MACIERZ POLSKA****AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE**

Issued at Chicago every Thursday.

Editor's address: **MACIERZ POLSKA,****81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS**

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month. Single copy 3 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA**141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS****TO MOJE.**

— Nie ruszaj lalki, bo to moja!

Wołała Dorotka

Nie zbliżaj się, bardzo proszę,

Do mojego kotka!

Nie bierz książki, bo nie twoja,

Mnie ją dała mama:

Nie oglądaj malowanek,

Ja obejrzę sama!

Oddaj zaraz moją piłkę,

No, oddaj w tej chwili,

Nie chcę, aby moją piłką

Inni się bawili!

Nie bierz tego! nie rusz tego!

To moje, to moje!

Wciąż te słowa Jaś i Zosia

Słyszeli oboje.

— Nie ruszymy, nie weźmiemy,

Miej wszystko dla siebie

Już nie chcemy twoich rzeczy,

Dobrze nam bez ciebie,

I oboje się bawili

Przyjemnie wesoło.

A Dorotka stała z dala,

Nachmurzywszy czoło.

I w serduszkach tak jej było

Smutno i nie miło,

Choć zabawki swoje miała,

Nic jej nie bawiło,

H. Bojarska.**Piękny dąb.**

Owczarz siedział sobie raz w cieniu rozłożystego dębu, a jego mały syn Kubuś bawił się obok niego. W tem nadeszło trzech wojaków, którzy w swych ciemnoniebieskich mundurach, takich samych czapczkach i z błyszczącą bronią bardzo dziarko wyglądali. Stanęli przed dębem i podziwiali jego wspaniałość. „Piękne drzewo!“ zawołał jeden „Gdyby z tego drzewa dobre węgle były, mógłbym dużo na niem zarobić“.

„To być może“ — odpowiedział owczarz. — „Kubusiowi do ucha szepnął Węglarz! Drugi z nich rzekł: „Gdyby mi wolno było korę jego zedrzyć, miałbym doskonały garbnik“. „Prawda“, odpowiedział owczarz, ale na to byłaby szkoda tego pięknego drzewa! Kubusiowi szepnął znowu: „Garbarz!“ —

Trzeci odezwał się tak: „Aj! aj! Jakie piękne żółędzie zwieszają się u gałęzi, a jak ich dużo! Gdybym je miał dla moich świń, dopiero byłyby dobre kiełbasy i kiszki na jarmarku!“ Owczarz zaś mówił tak: „Żółędzie te przyjdą niedługo na licytację, to musicie panie rzeźniku dobre ceny podawać!“

Gdy trzech wojacy odeszli odezwał się Kubuś: „Ojcie, czy ty znasz tych trzech żołnierzy?“ — „Nie“ — odpowiedział owczarz; widzę ich po raz pierwszy dzisiaj.“ —

„Więc skąd wiesz, pytał dalej chłopiec, że jeden jest węglarzem, drugi garbarzem, a trzeci rzeźnikiem? Przecież nie wyglądają na takich; są ubrani po wojskowemu.“

„Naturalnie, że nie po sukniach poznałem, co jest ich rzemiosłem“, odpowiedział ojciec, „ale po mowie ich. — Każdy człowiek mówi chętnie o tem, co go najwięcej zajmuje. Dobrzy ludzie mówią tylko o dobrem; źli zaś zdradzają się mimowolnie mową swą, można ich zatem łatwo poznać i ustrzedz się przed ich złością.“

Co się na dnie serca chowa,

Zdradzi najczęściej nieroztropna mowa.

Grzeczność daleko prowadzi, a przecież nie nie kosztuje.

* * *

Zamiłowanie ochędoztwa, ta odraza, ten wstręt do wszystkiego, co jest nieczystem, na postępki, na uczucia, na myśli nawet nasze wpływ mają zba wienny.

* * *

Komu nauczanie maluczkich wydaje się zatrudnieniem nudnym i jednostajnym, kto w tej pracy nie zdolen uczuć radości i przejąć się miłością, ten nie jest nauczycielem.

Święci patronowie i patronki.

opowieści religijne
zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

IV.

ŚW. Wojciech.

Inny autor kościelny pisze:

Wojciech w każde święto hojnie czynił jałmużny, codziennie dwunastu ubogich u stołu własnego karmił. Zwykle, oprócz niedziel i uroczystości,

dawał posłuchania wszystkim zgłaszającym się do niego, zwłaszcza ubogim sierotom i wdowom; potem nawiedzał więźniów i chorych. Resztę czasu obracał na czytanie Pisma Bożego, ze swoim duchowieństwem i śpiewanie Psalmów Dawidowych. Zdarzyło się raz pewnego, iż tak dalece wszystko, co miał, rozdał biednym, że gdy przyszedł żebrak pół nagi prosić go o odzienie, nie mając go czem obdarzyć, wyporał z bogatej poduszki biskupiej pierze i pokrycie z niej mu oddał.

Z pracy swej i poświęcenia Wojciech, jak się nadmieniło, małe zbierał plony. Nie słuchał go lud, a co gorsza — nie słuchało duchowieństwo, popa-



LATO.

posiłek przyjmował aż po zachodzie słońca, a snu zażywając bardzo krótko, nigdy przed północą nie udawał się na spoczynek, wstawał zaś o świcie. W sypialni jego było wygodne łóże, ale na niem kładł na każdą noc ubogiego, sam na ziemi sypiał. Jeżeli mu pozostawało cokolwiek wolnego czasu od zajęć biskupich, wychodził w pole, należące do jego majątności i sam, dla przykładu i pokory, pracował, jak rolnik; stamtąd wracając, klękał na progu katedry i długo w noc się modlił. Każdego dnia, bardzo rano, miewał dla ludu kazanie; po nabożeństwie

dając w coraz większe zdrożności. Gdy niegodnych tych przeniewierców Chrystusowi Wojciech strofował, oni podburzali przeciwko niemu panów. Pięć lat takiej walki złamało wolę męża świętobliwego. Powziął tedy zamiar opuszczenia Czech i po złożeniu biskupstwa, odbycia pielgrzymki do Ziemi Ś-tej. A właśnie wrócił do Czech Strachwas, brat księcia Bolesława, mnich z klasztoru Ś-go Emerama w Rzecinie. Strachwas, nazwany Chrystyanem, był mężem pobożnym i uczonym. Wojciech przeto zwierzył się przed nim, oddawał mu stolicę swoją,

przekonywał, że jako brat panującego księcia, prędzej zyska sobie posłuszeństwo. Ale kiedy Chrystyan opierał się, czy to przez skromność, czy to pragnąc ojczyźnie swojej zachować Wojciecha, ten udał się sam do Rzymu, prosić Papieża, podówczas Jana XVI, aby go z biskupstwa zwolnił zupełnie. Papież uległ prośbom Wojciecha, który też niezwłocznie odesłał do Czech swój orszak podróży, a zatrzymawszy przy sobie tylko trzech najserdeczniejszych przyjaciół: brata swego najmłodszego Radima, proboszcza praskiego Wielicha i starego Radłę, zaczął czynić przygotowania do podróży dalekiej. Mieszkająca podówczas w Rzymie cesarowa Teofania ofiarowała Wojciechowi tyle pieniędzy, ile tylko mógł unieść Radim, ale Wojciech rozdał to wszystko ubogim.

Wybrawszy się do Ziemi Świętej, do słynnego klasztoru Montekassino (na górze Kassińskiej) pod Rzymem jeszcze wstąpił. Tam znalazł pobożnego opata Benedyktynów, który go tak zachęcał do życia klasztornego, że Wojciech postanowił osiąść w tem świętem ustroniu. Lecz wielka pokora, jaką miał w secu i ten klasztor mu przykrym uczyniła, bo oddawano mu cześć biskupią, a on chciał uchodzić za sługę. Przeto udał się stąd do zakonników greckich Ś-go Bazylego na Veŕis Lucis. Opat tamtejszy, Ś-ty Nil, przyjął go serdecznie, poradził mu jednak, iż u zakonników łacińskich właściwsze dla niego będzie miejsce, przytem wskazał mu w Rzymie, na górze Awentyńskiej, klasztor Ś-yh Bonifacego i Aleksego, zarządzany przez opata Leona. Usłuchał rady Wojciech, udał się do wskazanego klasztoru, odbył nowicyat i dnia 17 kwietnia 990 r. śluby zakonne wykonał. Brat Radim nie opuścił go. Z nim lat kilka Wojciech w rzezonym klasztorze przebył.

O dalszym przebiegu żywota Wojciecha, mamy u pisarzy kościelnych wiadomości następujące:

Stęsknili się prażanie bez swego biskupa przeto wyprawili po niego dwóch posłów, Pappata i Chrystyana, mnicha wymownego, którzy wzięwszy od arcybiskupa mogunckiego pismo, do Papieża jechali prosić, aby Wojciecha im wrócił do sprawowania owiec. W Rzymie się znalazłszy, zapewnili Wojciecha, iż prażanie teraz strapienia mu nie zadadzą i słuchać go we wszystkim będą. Aż taka perła, jak Wojciech, miła była Papieżowi nie rad z niej Rzym ubożył, wszakże na uwadze mając zbawienie ludzkie, Wojciechowi wrócić się na biskupstwo kazał, a rozkaz ten opat Leon, zwierzchnik bezpośredni Wojciecha, silnie poparł. Wojciech posłuszeństwem wolę swoją przełamawszy, udał się z posłami do Czech. Lecz na samym wstępie doznał zawodu, spostrzegł bowiem, iż dycepcyjanie jego świętą gwałcą, kupcząc w nie, jak w dni powszednie. Zawołał tedy:

— Obiecaliście poprawę, także ją czynicie?

Nie zrażał się jednak, ponownie do pracy nad poprawą ludu swego się zabrał, lecz i tym razem na każdym kroku opór spotykał. Wreszcie, gdy lud okazał się głuchym na wszelkie, napomnienia i nie myślał o poprawie, św. Wojciech postanowił znów opuścić Pragę. Zwierzył się z tem Pappatowi i wezwał go, aby z nim jechał.

— Albo masz ze mną iść, albo mnie więcej nie ujrzysz — taki dał wybór temu przyjacielowi swemu.

Jakoż razem opuścili Pragę niewdzięczną.

Udał się Wojciech na Węgry. Tam czas jakiś apostołował, poczem znów do Rzymu, do klasztoru swego Benedyktynów wrócił, gdzie dla duszy swojej pokój na ziemi znalazł. W tym czasie zasłynął, jako miły Bogu wybraniec, który zdolny jest łaskę niebieską dla ludzi uprosić. Wprawdzie już dawniej za jego sprawą ludzie cudów byli świadkami. Gdy raz pierwszy Pragę opuścił, w Czechach, przez cały czas jego wtedy pobytu w Rzymie, deszcz ani razu nie upadł, sprowadzając klęskę na kraj cały straszną. Wracając do Czech, wstąpił do klasztoru pewnego, założonego przez pustelnika, imieniem Brymoty. Klasztor był położony na tak wysokiej górze, że z niej Wojciech ojczyznę swoją mógł oglądać. Wypoczywając w klasztorze, błagał Wojciech Boga, iżby Czechy od klęski suszy uwolnił raczył. Zaraz też deszcz rzęśisty padać zaczął zraszając spiekłe pola. Góra od tego czasu nosi nazwę Zielonej, a na pamiątkę cudu kościół na jej szczycie wzniesiono.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SEN KAROLA.

Okno z pokoju Karolka wychodziło na mały ogródek, w którym rosła piękna rozłożysta jabłoń.

Z wiosną drzewo okrywało się blado różowymi kwiatami, a gdy otworzono okno, przesłiczna woń wchodziła do pokoju.

Prócz tego na gałązkach siadywały ptaki i wołały:

— Cir, cir, cir!

Karolik lubił siedzieć w oknie, przypatrywać się i słuchać ich cirkania.

Rzucał m także okruszyny bułki, kawałki drobno pokrajanego mięsa a nawet kupił dla nich za swoje własne pieniądze trochę pszenicy i sypał po trochu. Ptaszki chwytaly chciwie ziarnka, a na podziękowanie coraz głośniej wołały:

— Cir, cir, — cir, cir cir!

Wkrótce ptaszki się tak oswoiły, że przychodziły tuż na okno i dziobały w szybę.

Czasem gdy Karolek spał długo, cirkanie ptasząt i dziobanie w szybę budziło go ze snu.

Wtedy zrywał się prędko i mówił:

— Wstyd mnie, że takie małe ptaszyny wcześniej wstają odemnie!

Ale raz rzekł sobie:

— Kiedy te ptaszki tak się ze mną oswoiły, będą pewnie bardzo zadowolone, gdy je wezmę do pokoju.

Wyciągnął więc rękę, żeby którego z nich schwytać,

Ale gdzie tam, ptaszek pofrunął, a nawet na drugi dzień nie przyszedł na okno, tylko kołysał się na gałązce, kręcąc główką to w tę, to w ową stronę.

— Poczekaj, złapię ja ciebie! — zawołał Karolek.

Zrobił więc sidła i położył je za oknem.

Karolek położył się spać, ale o dziwo, sen miał bardzo niespokojny,

I nic dziwnego. Sniło mu się bowiem, że go przeniesiono do innego mieszkania, że go zabrano od mamy i taty i powiedziano:

— Będziesz miał co jeść i pić, ale nigdy z tego pokoju nie wyjdiesz.

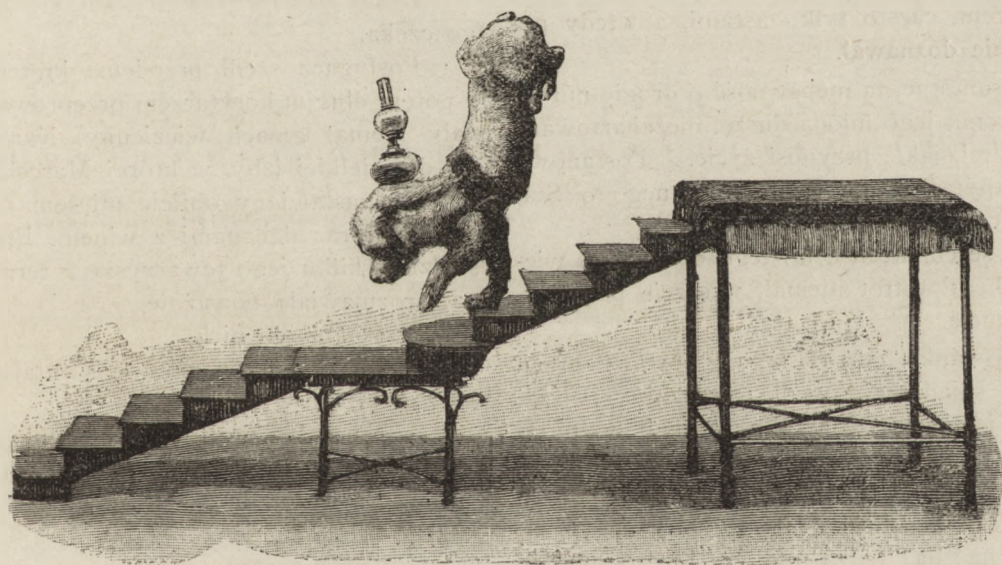
Szarpał się i chciał uciekać; nic z tego popieszczono go, pogłaskano, ale drzwi nie otworzono.

Nagle usłyszał jakiś głos żalony i uderzenie w okno.

Obudził się, świtać zaczęło.

Ptaszek trzepotał skrzydełkami w szybę i ciskał żałośnie.

Karolek wyskoczył z łóżka, otworzył okno, wołając:



CO MOŻE PIES.

Po kilku dniach ptaszek, nie domyślając się niczego, przyszedł znów pod okno i dziobał najspokojniej porzucone okruszyny.

Nasyciwszy się, chciał odlecieć.

Ale napróżno rozwijał skrzydełka, próżno się szarpał, nóżki miał uwięzione i nie mógł podlecieć do góry.

— Cir, cir, cir! — wołał żałośnie.

Ale Karolek nie rozumiał tego cirkania tylko wsunął rękę i zabrał ptaszka do pokoju.

— Musisz teraz ze mną siedzieć, dam ci jeść i pić, dam ci cukru, ale cię już nie wypuszczę! — mówił Karolek, trzymając w rękę przestraszonego ptaszka.

Potem dał mu wody, cukru, pszenicy, ale ptaszek siedział smutny, osowiały i nie tknął zastawionych przysmaków; w końcu zamknął oczki i zdmawało się, że drzemie.

— Idź ptaszyno na świat Boży, byłbym bardzo niegodziwy, gdybym cię chciał zatrzymać!

Potem położył się spać uszczęśliwiony i teraz spał już spokojnie. Ptaszek za oknem ciskał wesoło a Karolek śnił, że jest znów z mamą i tatusiem i że mu nikt nie broni wyjść z pokoju.

Ptaszku, śpiewaj, leć z piosenką,

W niebiosy się wzbij.

Przyleć do mnie po ziarenko,

Lecz swobodnie żyj!

— o —

Życie przyjemne, swobodne i użyteczne jest wypadkiem dobrze urządzonego czasu.

* * *

Prawdą jest, że ile kto języków posiada, tylekroć zmnożył w sobie człowieka; ależ też jest prawda, że kto własnego nie posiada, ten spodlił w sobie rodaka.

DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECJANA.
Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Długi dzień spędzony samotnie, odjął mu wreszcie spokój duszy, zaczęły go oblegać coraz bardziej dręczące przypuszczenia i coraz smutniejsze myśli, nareszcie rzekł sobie:

— Może Stabor odstąpił mnie tak, jak Alcibiades?... Tyle próśb zaniósłem do niego, gdy ostatnim razem mnie odwiedził, że zniechęciłem go może... Ciężkie dni nastały teraz dla Mareclina, dowodniej jeszcze przekonał się, jak bardzo kochał Stabora. O Lenę i matkę był też niespokojny, nie miał żadnych o nich wiadomości.

Jedyną jego pociechą była modlitwa, lecz i ta zawodziła go czasami, gdyż nie zawsze modlić się potrafił sercem, często tylko ustami, a wtedy pokrzepienia nie doznawał.

Te dni samotne, ta niepewność o drogie mu istoty łamały mu jego młodą duszę, niezahartowaną jeszcze ciosami, jakie przynosi życie. Postanowił nareszcie zapytać posługacza więziennego o Stabora.

Czuł w sercu niechęć do tego człowieka, więcej niż niechęć; wstręt niemal, wreszcie przezwyciężył to uczucie.

Pewnego ranka, gdy posługacz postawił przed nim zwykłe śniadanie i wedle zwyczaju spojrzął złośliwie w jego oczy, Marcelin zaczął go pytać:

— Już cały tydzień przyjaciel mój nie był u mnie, czy nie wiesz dlaczego?

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się gbur — tęskno ci za nim. Gruchaliście, jak gołąbki, teraz nie masz do kogo szeptać, do kogo się tulić... No, no, pociesz się zobaczysz go dzisiaj.

Rumieniec oblał blade policzki Marcelina.

— Wpuścisz go do mnie? — zapytał uradowany. — O jakiś ty dobry!

— Poprowadzę cię na ucztę do której zasiądziesz razem — rzekł posługacz.

Marcelin, nieświadom zwyczajów więźniów, a raczej zwyczajów, którym skazani na śmierć podlewać musieli, nie rozumiał tych słów.

— Na jaką ucztę? — zapytał.

— Gdy czas nadejdzie, dowiesz się — odparł posługacz i oddalił się.

Dzień ten dłuższy jeszcze od poprzednich wydał się więźniowi, wreszcie mrok począł loch zalegać. Marcelin ukląkł do modlitwy.

— Jezu, który cierpiełeś za mnie, naucz mnie cierpieć! — szeptały jego usta. — Naucz mnie zno-

sić pokornie dołą przez miłość Ojca Niebieskiego, Jezu zmiłuj się nade mną, weprzyj mnie.

Wtem drzwi więzienia skrzypnęły i wszedł posługacz. Położył on przed Marcelinem jakieś zawiniątko.

— Matka twoja, rzekł, przysyła ci szatę godową, ustrój się, za chwilę powrócę, aby na ucztę cię poprowadzić.

Młodzieniec podniósł się zdziwiony, oczy jego błysnęły radością.

— Miałbym być wolnym? — pomyślał.

Serce jego zabiło silnie, ale wnet stłumił radość.

— Tak więc kocham Chrystusa? — rzekł sam do siebie. — Mówiłem Staborowi, że śmierć męczeńską uważam za szczęście, a teraz raduje się, że błyska mi nadzieja życia.

Począł jednakże się ubierać a gdy posługacz powrócił, był już gotów.

— Prowadź! — rzekł głosem wzruszonym.

Drżał z niecierpliwości, aby się dowiedzieć, co go czeka,

Posługacz szedł przodem: krętymi schodami, a potem długim korytarzem przeprowadził go przez cały niemal gmach więzienny. Nareszcie dostali się do wielkiej izby, w której Marcelin ujrzał długi stół, zastawiony obficie mięsem pieczonym, owocami, oraz dzbanami z winem. Przy stole tym siedziało kilku jego towarzyszy z term Dyoklecjana i rozmawiało poważnie.

Przystąpił do nich.

Objasnijcie mnie, poco nas tutaj przywołano? — zapytał.

— Na walną ucztę odparł Rufin, z którym żył poprzednio w serdecznych stosunkach.

— Na walną ucztę? — powtórzył Marcelin — jeszcze nie rozumiem.

— Czy nie znasz naszych zwyczajów? Oto w wigilię śmierci imperator pozwala skazanym zbierać się w sali więzienia na wspólną ucztę, do której mogą też zasiąść i członkowie naszych rodzin.

— A więc jutro czeka nas męka?

— Tak jest.

Marcelin zamyślił się.

Żal ci życia? zapytał Rufin,

— Nie odparł młodzieniec zwolna, jakby z namysłem, lecz niebawem wzrok jego się rozjaśnił, podniósł śmiało oczy. Nie!... powtórzył tonem pewnym.

— Siądź z nami, niebawem napływać poczną nasi towarzysze, krewni i przyjaciele — rzekł Rufin, — Ciekawi już przybyli.

To powiedziawszy wskazał wzrokiem kilku mężczyzn w pobliżu stojących.

— Cóż to za jedni? zapytał Marcelin.

— Poganie, którzy przyszli popatrzeć się, jak będziemy rozpaczali w wigilię śmierci.

Marcelin podniósł z godnością głowę.

— Mam nadzieję, że w żadnym oku też nie dopatrzą — rzekł — toć wierzymy, że męczeństwo doprowadzi nas do zbawienia.

Rufin w miejsce odpowiedzi uściśnął mu dłoń.

Wielka sala gmachu więziennego napełniła się coraz bardziej. Marcelin musiał co chwilę odpowiadać znajomym na powitania, Wszyscy robotnicy term zebrawali się w sali. Gwar począł unosić się nad stołem, gwar wesoły, lubo nie nadto głośny, wszystkie twarze były ożywione.

Marcelin uległ ogólnemu prądowi, śmiał się żartował i rozmawiał swobodnie razem z innymi.

Skupieni opodal stali poganie i przypatrywali się chrześcijanom z widocznym zdziwieniem.

Wtem Marcelin zerwał się z ławy, oczy jego się ożywiły, na usta uśmiech wystąpił.

— Stabor! — wykrzyknął radośnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAGADKI.

Trzy laseczki w jednym rzędzie,
Czwarta za nią z czapką idzie,
Piąta górą przekreślona,
Szósta kołem otoczona,
Tu się wije wąż misterny
Przy nim księżyc niezupełny.

Kwadrat magiczny.

a o m a
r b d m
r d b o
a r r a

Z powyższych liter ustawić słowa tak, aby były czytane do góry, nadół, poziomo i wspan.

Znaczenie mają następujące: 1) Śpiewak u Celtów. 2) Bożek. 3) Stolica świata. 4) Istota ludzka.

Łamigłówka.

no — ga — m — o — ri — a — ko — to — o — wo — c — tu —
no — r — en — t — la — raz — lar — b.

Pierwszy z kruszczu wyrobiony.

Drugie, rzeka z południa strony.

Trzecie, bez wody się nie obejdzie,

Na wielkich rzekach znajdziesz go wszędzie.

Czwarte, w sypialni wszystkim dobrze znane.

Pięte, jest brzydkie, gdy źle malowane.

Szóstego, rzeźnik sam nigdy nie zjada.

Siódme przeczaża, chociaż i w dzień spada.

Całość, gdy pomyślisz dobrze w swojej głowie,

Otrzymasz dość często użyte przysłowie.

Rozwiązanie zagadki z numeru 28.

Szarada: KO—PER—NIK.

Arytmogryf

T R E M B O W L A

R e v e l

E w a

M e b e l

B o l e r o

O w a l

W a r t a

L a t o

A r a b

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych AMERYKI PÓŁNOCNEJ,

p. o. Najsw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacya łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patryotycznych i bratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30-go czerwca, 1906 r.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division St.

Chicago, Illinois

ZARZĄD GŁÓWNY:

KS. FRANCISZEK GORDON, C. R., Moderator; JULIAN SZCZEPAŃSKI Prezes; AGNIESZKA NERING, I Wice-prezeska; MAKSYMILIAN BROCHOCKI, II Wice-prezes; WINCENTY J. JÓZWIAKOWSKI Sekretarz Główny; WŁADYSŁAW SZTANKA, Skarbnik; PAWEŁ P. KUCHARSKI, Dyrektor; JULIAN J. NEJMAN, Dyrektor; FELIKS AUGUSTYNOWICZ, Dyrektor; FRANCISZEK SIATKOWSKI, I Marszałek; JAN SZPEKOWSKI, II Marszałek.

KS. FELIKS ŁADOŃ, Redaktor; DR. BOLESŁAW KLARKOWSKI Lekarz Główny; LUDWIK JANKOWSKI, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; TEOFIL GORDON, Asystent Sekretarza Głównego; IGNACY CIESIELSKI, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. PIOTROWSKI Doradca Prawny.

Poseidzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza i Skarbnika Głównego w Biu-
rze Generalnem:

W każdy poniedziałek i w każdy piątek od godziny 7-mej do 9-tej wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwarty
co wieczór, od godziny 7-mej do 10-tej. W niedziele, od go-
dziny 3-ciej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka
religią rzymsko - katolickiej, liczący lub licząca mniej niż
45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą na
porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej.
Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału mu-
szą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego
Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcyi, a po
uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom,
na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organi-
zacyi.

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnem złoże-
niem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wie-
ku, za odznaki, za kwitaryusz, za konstytucyę i podatek mie-
sieczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedze-
niu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat
15 nieskończonych 50c.; 16: 60c.; 17: 70c.; 18: 80c.; 19: 90c.; 20:
\$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.30; 25: \$1.40; 26:
\$1.50; 27: \$1.60; 28: \$1.70; 29: \$1.80; 30: \$1.90; 31: \$2.00; 32:
\$2.20; 33: \$2.40; 34: \$2.60; 35: \$2.80; 36: \$3.00; 37: \$3.20;
38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43:
\$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucyja 10c. Odznaki dla mężczyzn
\$1.00. Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc
na fundusz obrotowy 10c., assesment regularny na pośmiertne
co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci
obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równi wydatku na
pośmiertne, na każdego członka z doliczeniem jednego centa do każdego
wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie
wsparte w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki.

W przypadku śmierci członka Macierzy Polska płaci spadkobiercom
za każdy miesiąc przynależność członka do Macierzy Polskiej i opłacenie
wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$500.00
biorąc jako podstawą w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacon
assesmentu miesięcznego.

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu. Inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przesłać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Oddziału i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA
141-143 W. Division St. CHICAGO.

Urzędowe zawiadomienie.

Nadzwyczajny podatek na Pośmiertne.

Cyrkularz No. 26.

Na miesiąc Lipiec r. 1907 wynoszący 30 centów.

Donosimy niniejszem, że na miesiąc Lipiec, roku 1907, przypada podatek nr. 26 na wszystkich członków i członkinie Macierzy Polskiej, przyjętych do dnia 1go Maja 1907 r., wynoszący trzydzieści centów, na pokrycie wypadku pośmiertnego: Nr. 40 ś.p. **Piotr Wałaszkiwicz** Oddz. 14, suma \$450.00.

Liczba członków i członkiń opodatkowanych 1576.

Zwracamy uwagę, że nadzwyczajny podatek na pośmiertne ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi podatkami i musi być niezwłocznie skolektowany i wpłacony do Kasy Głównej.

Wszystkie podatki do Kasy Gł. w miesiącu Lipcu, 1907 r. razem wynosić będą 50 centów.

Z bratnim pozdrowieniem
Julian Szczepański, prezes.
Win. Józwiakowski, Sekretarz.
Chicago, dnia 12go czerwca 1907.

URZĘDOWE ZAWIADOMIENIE.

Niniejszem zawiadamiam Szanownych urzędników i członków

Macierzy Polskiej, że miesiąc *Sierpień*, b. r. jest wolny od nadzwyczajnych podatków na pośmiertne, a zatem opłaty do kasy głównej w miesiącu sierpniu, 1907 r., wynosić będą 20 centów.

Win. J. Józwiakowski,
20-VII-07. Sekr. Gł. M. P.

MARTA.

(Z powieści P. Orzeszkowej).

(Dokończenie.)

Pani Rudzińska podała Marcie zgrabną kopertę

— Pani — rzekła z nieśmiałością — oto jest dług, który względem niej zaciągnęłam za całomiesięczne nauczanie mej córki.

— Nic mi się nie należy — rzekła — bo ja niczego córki pani nie nauczyłam.

Marta wróciła do domu nie przyjąwszy niezpracowanych summiennie pieniędzy, tylko z nadzieją, że jej pani Rudzińska wynajdzie inne stosowniejsze zajęcie. Istotnie dano jej do skopiowania rysunek; a ona już żadnego zasobu pieniędzy nie miała. Jańcia podniosła ku niej bladą twarzyczkę.

— Mamo! — ozwała się jęklwym głosem, — jak tu dziś zimno. Rozpal ogień na kominku!

Za całą odpowiedź Marta schyliła się, wzięła dziewczynkę w objęcia, przycisnęła mocno do piersi drobne jej ciało, do czoła jej przyłgnęła ustami i tak została przez chwilę nieruchoma. Nagle powstała, ściślej owinęła Jańcię wełnianym szalem, posadziła ją na niskim stołeczku, przyklekła przed nią, uśmiechnęła się, pocałowała ją w blade usteczka i zupełnie prawie swobodnym głosem rzekła:

— Jeżeli Jańcia spokojnie bawić się będzie swoją lalką, jutro albo pojutrze skończę robotę, drewek kupię i ogień rozpalę.

I pracowała, a dziecku opowiadała bajki. Wreszcie robotę skończyła i odniosła do redakcyi pisma illustrowanego. I dowiedziała się, że ma talent do rysunku, ale go należycie nie wykształciła, i że

rysunek utrzymania jej nie zapewni.

Pani Rudzińska przejęta dla niej współzuciem, pojechała z nią do sklepu swej znajomej, sądząc, że tam zarobek znajdzie, lecz tam żądano towaroznawstwa, buchalteryi. Nowy zawód. Pani Rudzińska obiecała szukać dla Marty innego zajęcia, a teraz wsunęła jej do ręki pieniądze, których przed tygodniem nie przyjęła.

— Jałmużna, jałmużna — szepnęła Marta i chciała oddać pieniądze, ale stanęła w jej myśli Jańcia zziębnięta. Jańcia głodna. Przyjęła Tego wieczora na poddaszu, pał się ogień na kominie, dziecię było spokojne, zadowolone.

Ale biedna Marta z jakimież łamała się myślami.

— O gdybym za młodu pracowała, kształciła się wytrwale i gruntownie! gdybym o przyszłości myślała, jakżeby mi teraz słodko było byt swój i dziecka pracy własnej zawdzięczać. Jakże byłabym dumna!

A teraz, teraz, takie męczarnie, takie upokorzenia! Ale nie dam się zwyciężyć — chwycę się najprostszych, najtwardszych robót, byle sprostać moim obowiązkom. I padła na kolana.

— Boże! — zawołała. — Nie pozwól abym ustała, daj abym spełniła macierzyński obowiązek i nie straciła szacunku dla siebie. A dziecię moje chroń od prób podobnych, chroń od nich każdą młodą istotę!

Bóg zapewne wysłuchał jej gorącej modlitwy.

Obszar i ludność.

Obszar i zaludnienie pięciu największych miast na kuli ziemskiej przedstawiają się dla każdego z nich odmiennie. I tak najmniejszą powierzchnię, 6,300 hektarów (hektar równa się 10,000 metrów kwadratowych czyli 1/100 kilometra kwadratowego) zajmuje Berlin, w którym jest ludności 2,034,000 tak iż na hektar przypada 322 głów. Po Berlinie idzie

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8 miu wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznościeli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przesyłać przez
Money Order lub w jednocentowych
znaczkach pocztowych.

Drukarnia Dziennika Chicagoskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie
drukarski wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagoskiego

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce
założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

Najstarsza i największa Intro-
ligatornia Polska w Ameryce,
wykonuje wszelkie prace w za-
kresie introligatorskim wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

Paryż, mający 7.800 hektarów powierzchni i 2.731.000 mieszkańców, tak, iż na hektarze mieszka 330 osób. Przeszło dwa razy większą od Paryża powierzchnię, bo 17.200 hektarów, zajmuje Wiedeń który ma 1,675.000 mieszkańców, z których zatem tylko 97 przypada na hektar, co pochodzi stąd iż bardzo gęste zabudowanie i zaludnienie starego Wiednia równoważą niedawno do niego przyłączone osady podmiejskie, a nawet prawie wsie. Prawie dwa razy większy, niż Wiedeń bo 30.500 hektarów zajmuje obszar Londynu z ludnością 4.536.000 tak, iż na hektar wypada 148 mieszkańców. Największym co do rozległości 82.500 hektarów, jest Nowy York, w którym mieszka 3.716.000 ludzi, tak, iż na hektar przypada tylko 45 głów. Z wymienionych przeto miast najmniejszym co do powierzchni jest Berlin, największym zaś Nowy York; gęściej zaś mieszkają ludzie w Paryżu, a najprzystrojnziej w Nowym Yorku, z czego pojąć łatwo olbrzymi rozwój komunikacji śródmiejskich w tym mieście.

Nasze nowe domy.

— Więc pan po pół roku już chce się przeprowadzać? A przecież chyba mieszkanie dobre i na dole, jak pan chciałeś?

— Prawda, ale widzi kochany gospodarz, strasznie jestem żenowany, choć mieszkam na dole, nie sposób kichnąć żeby ci z trzeciego piętra nie wołali na zdrowie!

Przyjacieli: — No, jakże ci się powodzi?

Literat: — Nie źle. Mam już materiał do ślicznej powieści.

Przyjacieli: — Toś szczęśliwy człowiek.

Literat: Mam także materiał do pysznej komedyi.

Przyjacieli: — To doskonale.

Literat: — Tak, ale czego mi brak, to materiału na parę spodni.

Ogłoszenie. (Autentycznie).

„Potrzebuję ucznia do praktyki... według umowy wezmę go do połowy lub w całości na jedzenie. O chorobie jego również starać się będę”.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorącym powietrzem, Wibracją, Elektryką, Masażem, Gimnastyką, Hydroterapią, Suggestyą, Kąpielami ziołowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności
swój wielki SKŁAD OBUWIA
pod firmą

'The Grand Shoe Co.'

865 Milwaukee ave.,
pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trzewiki modne i trwałe dla mężczyzn, dam, młodzieży i dzieci po cenach umiarkowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrzciny, itp.

318 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

— Otwarte w dzień i w nocy. —

Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Ślubne fotografie wykonamy z wielką akuracją; nawet w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembleta. Ceny zniżone dla grup, towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Cieśla. Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

OGŁASZAJCIE SIĘ
w „MACIERZY POLSKIEJ”.

NAGRODY

— dla —

Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.

Nagroda I-sza:

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspaniały szczerzłoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Hołd zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn.)

Ten elegancki, szczerzłoty

medal z naszym godłem, w formie bryloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Sliczny, szczerzłoty znak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na kłapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-ga:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto już ma znak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po najlepszych szczerzo - złote ślubne obrączki idźcie do jedyne go polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do M. Wojteckiego,
677 Milwaukee ave.

Telefon Monroe 1298.

JEŻELI CHCECIE

kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyć pieniędzy na budowę lub zakupno, to zg.ście się do nas my wam najlepiej służy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,

agent ubezpieczenia od ognia członek Fire Underwriters Association.

Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowane i Dekorowanie Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,

Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarskim wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład

INTROLIGATORSKI,

812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON, CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, jest nakładcy całej lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po omach a miarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA.

812-814 Milwaukee Ave. CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI

ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.

Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph

Półkój 207, 208 i 209. Tel. Central 602.

Wieczorem 606 Noble ul. Tel. Monroe 2427

Miesz. 50 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1864

Ogłaszajcie się w
Macierzy Polskiej.



SUMMER CLEAN-UP

NOW let everybody get a bargain; will save you from \$3.00 to \$8.00 on Men's spring and summer Suits

Sale Prices \$4⁸⁸ \$6⁸⁸ \$9⁸⁸ \$12⁸⁸

THE ARMITAGE
Milwaukee and Armitage Ave's